Rok 6. Lwów, Sobota dnia 24. Stycznia 1874. Rok 6.

Nr. 4. **Fejleton Szczutka.** Nr. 4.

Dodatek tygodniowy do „Szczutka.“

FAUST.

Blada postać z mgły i głodu —
Był promienny jak anieli,
Jak szatany był ponury.
Był więc jako wieszcz narodu
W serafińskiej uczuć bieli
Wrogiem tłumu — i matury.

Na wysokiem swem poddaszu
Siedział z muzą swą siarczystą,
Jęcząc wstęp do poematu.
Gdy wtem wchodzi lisim krokiem
Chudy, łysy pan Mefisto,
Praktykant od magistratu.

„Wiedź mię,“ rzecze mistrz emfazy,
„Wiedź Mefisto! Ja chcę ludzi!
Ja chcę walki i wawrzynu!
Chce im wrzasnąć, że są płazy,
Może wieszczy głos ich zbudzi —
Ja ich zbudzę! Czynu! czynu!

„Ależ druhu,“ rzekł Mefisto,
„Jesteś zda-się całkiem gołym!
Bez pieniędzy wieszczów żądze
Są ironją wiekuistą!
Więc gdy chcesz być apostołem,
Przemień frak swój na pieniądze!“

Jak Nioba śród boleści
Zadrgał wieszcz... Lecz w dumnej wzgardzie
Przyjął wreszcie propozycję,
I jak Farys mknął po mieście —
Karły z drogi! — i w lombardzie
Skazał frak swój na banicję...

Uśmiechnięty, lekkim krokiem
Poszedł w półświat dymu-gazu.
Za nim ciągną ludzie marni,
Którym on ma być prorokiem
Pełnym siły i wyrazu.
Poszedł śmiało do kawiarni.

Gretchen twarzą promienistą
Uśmiechała się tak lubo,
Gdy wieszcz spiewał przy herbacie.
A zaś imci pan Mefisto
Gruchał czule z Martą grubą
Przy koniaku aromacie.

I do rana deklamował
Prorok nasz w wybrańców mowie,
Wszyscy byli uniesieni!
A gdy ranek świat całował,
Pełno było w wieszcza głowie,
Próżno było zaś w kieszeni!

Spiąc na wątłem swem posłaniu,
Jonjusz śnił o nocnej swadzie,
Ponczu, wierszach i koniaku,
Śnił o Gretchen i kochaniu,
I o czarnej druha zdradzie,
I o czarnym swoim fraku...

St.

Portrety.

Reformatorka z drugiego piętra.

(Ciąg dalszy.)

Do pamiątek familijnych nie przywiązuje pani B. żadn wagi, chętnie jednak powtarza, że jej dziad posiadał wielkie dobra na Ukrainie, a ojciec dosłużył się zaszczytnego stopnia w armii wielkiego księcia Konstantego. Portrety familijne nie wiszą tam wprawdzie w jadalnym pokoju, ten pokój jest bowiem tak zagracony, że wśród różnorodnych szaf, kuferków i szyfonierek nie byłoby miejsca na portrety antenatów, lecz za to nad jej biurkiem jest odpowiednie miejsce przeznaczone na rodzinne pamiątki. — W domu pani B. panuje zresztą podobnie jak i na biurku artystyczny nielad, do herbaty podają często niewytarte filiżanki, pajęczyna w kształcie portjer łączy odrzwia w jadalnym pokoju z wierzchem szafy, gdzie się piętrzą stosy najróżnorodniejszych papierów, bębnów i pajaców przechowanych jako pamiątki po synku który umarł państwu B. przed dwoma laty, a o którym nie można wspominać w domu pani B. niechcąc narazić się na wywołanie głębokiego westchnienia i trochę afektowanych łez, które jednak szybko znikają z powierzchni oka naszej bohaterki.

Gdybyście mnie się zapytali, jak się ma właściwie ze sprawami sercowemi u pani B., czy filozofka i literatka zupełnie zrezygnowała z wszelkich namiętności, tobym był zmuszony odpowiedzieć, że filozofja bynajmniej nie wyklucza gorących porywów serca, i że przygasłe oko ma jeszcze chwile, w których się żarzy jasny i ciepły płomień. Nie trzeba bowiem zapominać, że pani B. nie doszła jeszcze lat czterdziestu, i że przechodzi ową powtórną wiosnę młodości, w której sobie musi powetować za pierwszą, albowiem późno poszła za mąż.

Chciałbym zachować najściślejszą tajemnicę w rzeczach tyczących się uczucia pani Bronisławy, widzę jednak że żądacie odemnie abym wszystko wyjawił. — Czegoż się jednak nie robi dla moich czytelników? — Gdyby można napisałoby się im własne grzechy, gdyby się wiedziało, że ich takowe będą zajmować. A że grzeszki pani B. nie stoją w najmniejszym stosunku do grzechów piszącego te wiersze autora, więc tem łatwiej przyjdzie je wyjawić.

Otóż, było to pewnego razu, pani B. siedziała w fotelu w swoim saloniku i czytała jakiś ustęp — z powieści i bez okularów. Obok niej usiadł w fotelu młody chłopak, początkujący literat. Pani B. czytała, pan X. wpatrywał się w nią. Nareszcie pani B. upuściła książkę i głęboko powiedziała: Ach!

— Co znaczyło to ciężkie westchnienie? zapytał młody literat.

— Pan mnie o to pytasz? — jakaż ona była szczęśliwa!

— Kto taki, przerwał naiwnie nie przyzwyczajony do podobnych sytuacyj pan X.

— Eudoksja! — bohaterka niniejszego romansu! — była szczęśliwą, bo była kochaną! — Pani Bronisława rzuciła w tej chwili spojrzenie, rozświecające położenie w głowach najniepojętniejszych i najnieśmielszych nawet literatów.

— Gdyby pani to wystarczało do szczęścia co Eudoksji, mogłabyś nią być każdej chwili.

Nastąpiła jeszcze wymiana kilku frazesów, po których pani Bronisława rzeczywiście była tak szczęśliwą jak Eudeksja, a młody literat został natchniony do pierwszej powieści.

Jak więc widzimy, wpływ pani Bronisławy był reformatorskim nawet w miłości, skoro umiała milczące dotąd dusze literatów do nowych dzieł podniecać. — Nie myślcie jednak aby rzeczywiście jej wpływ czasami nie był bez skutków, i owszem; z wieczorków u niej wychodziły często nowe artykuły gazeciarskie, nowe kroniki niedzielne, a nawet nowe wierszyki do „Szczutka". Bywało nieraz podczas sejmu, gdy pani Bronisława powróciła z galerji z wezbranym prądem słów przeciw któremuś z mowców, tak umiała powodzią swej wymowy zatopić wszelkie przeciwne argumenta w głowach swych gości, że ci rzeczywiście pod wpływem świeżego wrażenia pisali jeszcze tej samej nocy artykuły na temat wieczornej pogadanki. Należało to do namiętności pani Bronisławy, godzinami przesiadywać na galerji sejmowej, a nieraz nie odstraszyła ją od tych zabaw ani ustawa drogowa, ani „kopytkowe" dla Stanisławowa. W duszy złorzeczyła pani B. współczesnym stosunkom, że nie doprowadziły jeszcze do tego, aby kobiety mogły być wybierane do reprezentacyj krajowych. „Dopiero jabym im powiedziała! — dopiero jabym ich rozumu nauczyła!" — powtarzała pani B.

Jeżeliśmy więc panią B. nazwali reformatorką — to przyznać musicie, że nazwa ta jest usprawiedliwioną.

Pseudo-Gavarni.

III.

Pani posłowa.

(Do rady państwa).

Mówię: „do rady państwa", jest bowiem wielka różnica między panią posłową do sejmu, a panią posłową do rady państwa. Pierwsza nie bywa we Wiedniu, podczas gdy ostatnia przepędza prawie pół roku w stolicy państwa austrjackiego przy Szauflergasse Nr. 3. Podaję dokładnie adres, wszystkim bowiem przyjaciołom konstytucji wiadomo, że u pana Krauza pod przytoczoną liczbą istnieje uprzywilejowany galicyjski Hotel garni, który w historji galicyjskiego parlamentaryzmu będzie miał niezatarte wspomnienie. Dla objaśnienia dodać muszę, że do pana Krauza zajeżdżają z małym wyjątkiem tylko panie posłowe nie sprzeciwiające się zbyt stanowczo istnieniu rady państwa o jej teraźniejszej formie, i nie wierzące w przyszłość federalizmu. Federalistki, dotąd po większej części panie krakowskie, stronią od pana Krauza, od jego wybornej śmietanki i od jego prawdziwie centralistycznego porządku.

Trzeba wiedzieć, że centralizm, że konstytucja grudniowa, ma paniom posłowym bardzo wiele do zawdzięczenia, a „Nowa Pressa", jako przedstawicielka wiernokonstytucyjnej idei, powinnaby do większości płci pięknej w Galicji, stojące w bliższych lub dalszych stosunkach z posłami, dziękczynny wystosować adres. Mój Boże! — nikt się przecież nie będzie dziwił, jeżeli powiem: że opera wiedeńska, że koncert w „Gartenbaugesellschaft", że teatr „Karola" mają swój wielki, pociągający urok. A skoro w tem wszystkiem nie ma nic dziwnego, że i to się wam wyda naturalnem, że panie posłowe lubią Wiedeń, i że zawsze były w złym humorze i w nerwowem usposobieniu, kiedy tylko mężowie chcieli wychodzić z rady państwa i wracać do domu gdzieś tam w głębokie stryjskie, kołomyjskie lub czortkowskie. — A ponieważ jak to powtarzają od dawna, że my rządzimy światem, a nami kobiety — więc też panowie posłowie radzi nie radzi poddawali się woli swych pań i zostawali u Krauza. Nie mnie orzekać czy to było dobrze czy źle, dość że panie posłowe niezaprzeczenie w tym kierunku działały na delegacją.

Możecie więc sobie wystawić, jak ważną postacią w galicyjskiem społeczeństwie jest pani posłowa do rady państwa. Jest to naturalnie osoba mająca od trzydziestu do czterdziestu lat, dobrze się ubierająca, chociaż cokolwiek z wiedeńska, rozprawiająca dużo o operze, o teatrze w Burgu, o pięknem położeniu Pesztu, o kolei na drutach w Kalenbergu, bywająca w lecie w Badenie, przyzwyczajona do wycieczek na Semering, rozsyłająca znajomym na imieniny upominki od Kleina z czerwonego juchtu, umiejąca na pamięć wszystkie zakulisowe wiedeńskie nowinki z politycznego i niepolitycznego świata, słowem, jest to osoba wcale interesująca, jeżeli Bóg ją stworzył interesującą, i nie dał jej tej nie zawsze przyjemnej właściwości, że na wszystkie pytania odpowiada: „tak", i nie daje nawet sposobności do bardziej ożywionej rozmowy, będąc tak zgodnego usposobienia.

Powiedzieliśmy, że pani posłowa ubiera się cokolwiek z wiedeńska — z tem jej nie do twarzy, wiedeńska moda zwyczajnie bowiem bywa przesadną, a chcąc ulepszyć paryskie wzory, przemienia je najczęściej w karykatury.

Takie rzeczy się jednak przebacza pani posłowej, zważywszy że będąc co roku przez czas dłuższy we Wiedniu, dowiedziała się gdzie są najtańsze sklepy i że z tego powodu mniej wydaje pieniędzy aniżeliby to się działo w innych warunkach.

Podczas pobytu pani posłowej we Wiedniu lub we Lwowie bywają u niej herbatki zgromadzające najbliższych przyjaciół politycznych męża. Ponieważ zaś prócz polityki, tarok głównie ożywia te wieczory, więc z początku, z konieczności, nauczyła się pani posłowa także grać w taroka, aby w potrzebie zastąpić nieobecnego partnera. Partja taroka zasłużyła sobie także na pamięć w dziejach galicyjskiej delegacji. Jeden z jej przewódców lubił bardzo grę w taroka i tak jakoś umiał swoją sympatją dla tej gry przelać w swych kolegów, że wkrótce z przyjacielskich zebrań delegatów znikł prawie zupełnie wist i preferans, a natomiast tarok w swe najzupełniejsze wszedł prawa. Odtąd, przy partji taroka, najważniejsze decydowały się sprawy; zawierano tam układy na wzajemnych opierające się ustępstwach, wybierano komisje, zastanawiano się nad kandydatami do przyszłych ministerstw, roztrząsano znaczenie każdego ustępu tak zwanej rezolucji galicyjskiej, i rzec można, że tarok przyczynił się także do solidarności galicyjskiego koła we Wiedniu. Wykrzyknik: „pagat ultimo!" co wieczór prawie brzmiał w saloniku pani posłowej, tak że gdy z Wiednia przyszło wyjeżdżać, i za „pagatem" tęsknić się zaczynało. Bywał to zresztą tak niewinny tarok o tak niskich stawkach, że nawet szczupłe poselskie dyety ucierpieć na nim nie mogły.

W ważnych okolicznościach, kiedy delegacja dawała objad na imieniny swego prezesa, albo kiedy objadem miała powitać przyjeżdżającego z kraju namiestnika, bywała pani posłowa używana do rady, aby jak najodpowiedniejsze ułożyć „menu" objadowe. Pomimo że te objady nie należały bynajmniej do zbytkowych, przecież trzeba było wytrawnego w tym względzie sądu, aby zbadać wszelkie „pro i contra" tyczące się baranich kotletów i majonesu. Pani posłowa ze stanowiska kulinarnego protegowała „Sachera", ale i „Frankfurta" nie rada była obrażać, u którego zwyczajnie bardzo przyjemne przepędzała chwile. „Frankfurtem" nazywała restaurację w hotelu pod miastem tegoż nazwiska, i tam na pierwsze piętro chodziła na objad. Garson hotelowy zatrzymywał osobny stół dla galicyjskiej delegacji, przy którym prezydowała jedna lub druga pani posłowa. Stół delegacyjny nabierał w ten sposób przyjemnego niejako domowego pozoru, a nie jednemu panu delegatowi, który był w mniej przyjaźnych stosunkach finansowych, aby mógł ze żoną mieszkać we Wiedniu, przypominała się przy tej sposobności żona, dzieci, wymłócona koniczyna lub woły w gorzelni. Pani posłowa przyzwyczaiła się u „Frankfurta" pić wino czerwone z wodą sodową, i postanowiła z powro-

tem do domu nauczyć swego kucharza przysmarzać w ten sposób kartofelki, jak to po mistrzowsku umieją w kuchni „Frankfurta“. Przy pogadance objadowej mile czas przechodził, a bywało że pani posłowa od czwartej do szóstej musiała przewodniczyć tej pogadance i detronizować w ten sposób dziennie przez dwie godzin pana prezesa koła. — Po objedzie urządzał się czasem spacer do Dornbach lub do Hietzing, ale naturalnie fiakrem, a nie konną koleją, pani posłowa bowiem umiała pojąć wszystkie dobroczynne wynalazki dziewiętnastego wieku, tego jednak zrozumieć nie mogła jak można jeździć wiedeńskim „Tramwayem“ i dać sobie deptać po nogach jakiemuś kanceliście wracającemu z biura, albo kucharce niosącej jarzyny w koszu do rosołu. — W czem się zresztą zupełnie zgadzamy z panią posłową i podzielamy jej arystokratyczne pod tym względem pojęcia.

Jeden ze znakomitszych występów pani posłowej bywa w dniu, kiedy cesarz uroczyście otwiera radę państwa; wtedy mąż daje jej kartę wstępu do wielkiej sali w Burgu, gdzie umyślnie dla żon posłów przygotowane są krzesła naprzeciwko krzeseł przeznaczonych dla dyplomacji. Pani posłowej zdaje się wtedy na chwilę, że jest przynajmniej hiszpańską ambasadorową, ubiera się wykwintnie, każe komuś ze znajomych robić sobie honory, i z przyjemnością przypatruje się pąsowym dołmanom gwardji węgierskiej, haftowanym frakom szambelanów i tajnych radców, wyszukuje wzrokiem swego męża, w gronie stojących naprzeciwko niej posłów do rady państwa, i z niecierpliwością oczekuje mowy tronowej. W chwili, gdy cesarz wchodzi do sali w otoczeniu arcyksiążąt, pani posłowa staje na palcach, członkowie izby panów zasłaniają jej bardzo widowisko, a gdy prezydent ministrów zbliża się do cesarza, podając mu mowę tronową, pani posłowa z dumą powiada do kogoś znajomego, że cesarz o tem a o tem będzie mówił, — jej bowiem od dawna znaną jest mowa tronowa. — Uroczystość służy później do uprzyjemnienia wieczornej rozmowy różnorodnemi zrobionemi podczas niej spostrzeżeniami, i służy pani posłowej za powrotem do domu za jedno z popisowych opowiadań przed zazdrośnemi sąsiadkami i przed panią prezesową rady powiatowej, która się w duchu gniewa na męża, że nie został wybrany delegatem do rady państwa.

Podczas sejmu, we Lwowie, mieszka pani posłowa u Hofmana, albo w hotelu angielskim, wiedeńskim, zwyczajem przyjmuje dobrych znajomych na herbatę, od czasu do czasu — osobliwie podczas „dyskusji“ adresowej — chodzi do loży w sali sejmowej, i o ile możności w rozmowach towarzyskich stara się przysporzyć klientów stronnictwu do którego należy jej mąż.

Herbaty lwowskie pani posłowej bywają świetniejsze aniżeli wiedenskie, wieś bowiem bliżej, a klucznica stara się o to, aby co kilka dni wysłać dla państwa cały ładunek szynek, świeżego masła, chleba wiejskiego, jendyka pieczonego faszerowanego kasztanami, i kapłony na zimno, mogące rywalizować nawet ze styryjskiemi kapłonami Sachera.

Dawniej kiedy jeszcze ze sejmu wybierano posłów do rady państwa — nie miłym był dla pani posłowej dzień ponownego wyboru. Ileż wtedy przeszło myśli: a czy będzie wybrany? — a czy ten lub ów zręcznie go z siodła nie wysadzi? — czy nie trzeba będzie przepędzać zimę na wsi? i t. p. To też podczas wyboru chodziła pani posłowa po pokoju wielkiemi krokami, pocierając czoło kolońską wódką aby trochę umitygować wzburzone nerwy — gdy jednak rozpromienione oblicze mężulka we drzwiach się pokazało, odetchnęła znów pani posłowa, uściskała ukochaną łysinę i pomyślała sobie po raz wtóry: iż przecież dobrze zrobiła idąc za swego męża, a nie za owego pana X., z którym ją swatano, a który nietylko że dzisiaj nie jedzie do delegacji, ale co więcej stracił od dawna ojcowską fortunę.

Odpowiednio obowiązkom poselskim, nakłania pani posłowa zawsze swego męża, aby natychmiast po powrocie z wiedeńskiej kampanii zwołał zebranie wyborców do swego powiatowego miasteczka i rozwinął przed niemi o ile możności jak najdobitniej we zasługi około dobra publicznego, a przedewszystkiem aby podniósł to: że nie głosował nigdy za podźwignieniem podatków i za pomnożeniem wydatków na wojsko. — Pan poseł jak może tłómaczy się przed swą małżonką aby odłożyć ad calendas graecas nie mały dlań obowiązek, w końcu musi jednak uledz jej naleganiom i pisze inserat do gazet lwowskich: „Upraszam szanownych moich wyborców, aby się zgromadzili na dniu tym a tym w miasteczku, gdzie im złożę sprawozdanie z mego udziału w czynności delegacji.“

Po powrocie do domu, na wieś, bywa pani posłowa w najgorszym humorze, nie tylko bowiem dowiaduje się, że jej najpiękniejsza holenderska krowa zupełnie straciła mleko a kuna zjadła czterdzieści kapłonów, ale co więcej: gospodarstwo swe zastała w zupełnem zaniedbaniu, dwa półmiski z najpiękniejszego serwisu stłuczone, kanapę w salonie splamioną, w oranżerji okna powybijane, nasiona z najcelniejszych kwiatów nie pozbierane, słowem tysiąc różnorodnych znalazła zmartwień. Pan mąż także chodzi z kąta w kąt i wygaduje na Wiedeń i na poselskie obowiązki, albowiem podczas jego niebytności ukradziono mu najpiękniejsze konie z fornalki, rządca posiał zamiast dwiestu korcy pszenicy tylko sto pięćdziesiąt korcy, młócarnia zepsuta a nie posłano do Lwowa po maszynistę, tak że zboże na zasiew nie będzie na czem omłócić.

— Wiesz co moja kochana — zakonkludował pan poseł w rozmowie ze swoją małżonką — że jak jeszcze przepędzimy jedną kadencję we Wiedniu, tak jesteśmy zrujnowani; to poselstwo drogo nas kosztuje.

— Jakoś to będzie, odpowiedziała pani posłowa — za kilka miesięcy znów wszystko wróci do ładu...

Ciekawiście może, czy państwo posłowie pojechali do Wiednia? Otóż pojechali, a kuna wydusiła tym razem czterdzieści kapłonów.

Pseudo-Gavarni.

Bal towarzystwa muzycznego-swatem.

(Anegdotka zfabrykowana bez zamiaru reklamy).

Pan L. przekroczył już szczęśliwie trzydziestkę, i tak się wzwyczaił w swobodne życie kawalerskie, że zapomniał nawet o przyjętym na świecie zwyczaju żenienia się. Zajęty przez dzień cały pracą biurową, wieczory przesiadywał w gronie przyjaciół i tam z stoicznym spokojem przemyśliwał nad marnościami świata tego. Naraz los figlarny postanowił zamącić mu błogi spokój. Komitet urządzający tegoroczny bal na korzyść towarzystwa muzycznego w dniu 7. lutego przesyła mu zaproszenie, a przez pomyłkę dopisano: „z żoną.“ — Pan L. zrazu oburzył się na taką nieznajomość jego stosunków i wreszcie gniewała go tak złośliwa insynuacja. Po chwili jednakowoż zaczął nad tem wyrazem mimowolnie przemyśliwać i zastanawiać się. Tych kilka liter związanych w tak wielkie słowo, prześladowały go wszędzie, brzęczały koło ucha, wciskały się pod jego naiwnie poczynającą się łysinkę; widział je wszędzie, czy patrzał w niebo czy na ziemię; rysowały się nawet na referacie biurowym, na książce którą czytał, nawet w wstępnych artykułach gazety widział jedno tylko: „Pan L. z żoną.“

A były na świecie oczka, które mu głębiej do serca zajrzały jeszcze przed dwoma laty. Dziś oczka te szybko zmówiły się z owemi fatalnemi literami, i wspólnie z niemi zaczęły mrugać, wszędzie prześladować, coraz bardziej się przypominać, aż biedny nasz bohater zmęczony tem podwójnem prześladowaniem, odszukał śliczniutką właścicielkę tych ocząt, oświadczył się i został przyjęty.

Nowy to dowód, że z małych przyczyn bywają wielkie skutki.

ŁAMIGŁÓWKA.

**ar — ba — bar — ca — ca — cę — chi — cja — da —
da — de — des — do — dra — dyk — e — e — gi —
go — gu — ha — i — i — in — ki — kon — li — ma —
me — ne — ok — oś — pet — pę — raj — rak — rap —
raz — re — ro — rom — roz — rum — ryd — ryn —
rzyn — se — ste — świe — ta — ta — tek — tli — tra —
trom — tu — twa — um — um — wan — york — za — za —**

Z dwóch tuzinów wyrazów pozbieraj końcówki,
A szaradę mieć będziesz oprócz łamigłówki. —

Gdy na czele położysz słówko tu żądane —
Łatwem ci potem będzie znaleść miasto znane,
Znane u nas w Europie, jak za Atlantykiem —
Dalej ci tu potrzebna izba jasna, czysta —
Poznasz się z niem, bądź pewny, poznawszy z medykiem —
Nie przeoczysz owadów, dyć to oczywista —
Miłeć co roku, zwłaszcza gdy żniwo obfite —
Żyjątko nadpełtwiańskie wielce jadowite —
Służył ongi w Olimpie bogom ku podróży —
Ten zaś ku dotrzymaniu umowy nam służy —
W najściśliejszem go widzisz ze sobą przymierzu —
Kleszcze. — Tu na psy okrzyk przy pojmanem zwierzu —
Nasz ją miłował wielce gęślarz-protoplasta —
Na giezłeczku go wdziewa jeszcze dziś niewiasta —
Gdy tego brak klucznicy, sera także nie ma —
Tu masz wirgiljuszowe epiczne poema,
Arcydzieło, Italji swojej poświęcone —
Ziele, drzewku podobne i zawsze zielone —
Prócz. — Zasiada dziś w mieście, powiecie i gminie —
Kufer. — Natychmiast. — Śruby wynalazkiem słynie —
Zdanie następne, które poprzedniemu przeczy —
Pierwotna w człeku władza rozpoznania rzeczy.

Zagadka.

Czy znasz ty mój Joachimku,
Przyimek-łącznik w przyimku?
To nad wszelkie wyrażenie
Miłe, otwarte stworzenie,
Co nic sobie nie dodaje,
Nieobludne ma zwyczaje,
Wszystkim ufa, wszystko wierzy,
Tak jak myśli mówi szczerze.
Bo co w sercu to na ustach,
Czasem zda się że jest pusta,
Nawet gdyby grzeszek miała,
Pewnieby go wyspiewała,
Ale ona — lube dziecię,
Niewinna jak kwiat w rozkwicie.
— Jednak bracie — bądź ostrożny,
Mimowolnie to wróg możny,
Łatwo możesz wpaść mu w pęta,
Bo bezdenne ma oczęta!; —
A cóż gdy wyśmieje żale,
Furknie — by czarować dalej?!...
— A teraz zgaduj nieboże,
Powiedz co to za cud boży?

ZADANIE KONIKOWE.

Nieco z klassyków polskich.

Motto: *W każdym świat i horyzoncie,*
Są ciekawi ci, co w kącie.
Z dzieł Krasickiego.

		Sejm	o	gnę-	wał,	ła-	Nie-	wo-	dną		
		dźwi-	na-	gdy	po-	li	go-	Pa-	li:		
Toć	gli	przód	że-	po-	jąc	bo	ścią.	Spar-	li-	się	tą,
py-	i	my,	kraj	kar-	znę-	dli,	ścią,	ję-	cno-	ma-	o
mo-	naj-	szczem	dzy	gna-	słów	Za-	ty	nie-	li	żar-	go
u-	ta-	Jak	o	zwie-	ni	Czy-	mnie-	ło-	bre-	żą-	ta-
sku,	sza	ci-	my:	li,	po-	wraz	oj-	dzach,	cze,	mi-	do-
sku?	co	ja-	bez	mo-	li?	grza-	Zrzu-	dze-	czy	ich	wspa-
Mniej-	zy-	nić	o	Czy	gi,	prze-	zktó-	li	li,	nia,	zny
czy-	ko	niąc,	żna,	zu-	wszy-	się	za-	ci-	swo-	nia-	czu-
		do-	też	trwo-	li,	bra-	a-	rych	i		
		bez	Czy-	bro	wy-	scy-	smie-	ci	li		

Wydawca i odpowiedz. redaktor: *Liberat Zajączkowski.*
Z drukarni K. Pillera.